

gdzie w jakimś sierocińcu miał pod swoją opieką kilkanaścioro sierot, którym osobiście zanosił pożywienie i pełnił przy nich służbę.

Później, jak wiadomo, poszedł za mury getta wbrew namowom i oporowi przyjaciół, którzy zapewniali mu schronienie, opiekę, środki i nowe dowody osobiste. Kto dobrze znał Korczaka, wiedział, że to trud daremny, że nie ma siły, która by go odwieść mogła od spełnienia obowiązku do końca, nawet gdyby wypadło wstąpić na drogę, wiodącą ku Golgocie. Odtrąciwszy z krwawiącym sercem rękę pomocy drogich i bliskich przyjaciół, odtrącił także, ale z najwyższą wzdardą pomoc wrogów, którzy ulegli nieznanym jeszcze dotychczas potężnym wpływom, płynącym z Anglii (zdaje się Kwakrów) i wydali zarządzenie, aby Korczaka „puścić wolno“.

Kiedyś pod okupacją wspominał mi jeden z lekarzy Szpitala Ewangelickiego, mieszczącego się na pograniczu getta, że pewnego razu wpadł do ambulatorium szpitalnego jakiś Niemiec, lekarz wojskowy i w najwyższym podnieceniu oświadczył, że on „tutejszych ludzi“ zupełnie nie rozumie. Władza niemiecka, dając dowód swojej wspaniałości, postanowiła uwolnić z getta jakiegoś opiekuna sierot żydowskich, lekarza z zawodu. „Ale ten, wyobraźcie sobie, kazał zbawcom iść precz od siebie, bowiem gardzi łaską oprawców i barbarzyńców“. Jak dziś wiadomo, było to ścisłe i zgodne z prawdą. Janusz Korczak, trzymając dziecko na ręku, prowadził pochód sierot do pociągu śmierci i z dumnie podniesionym czołem wszedł do wagonu zatrzasnąwszy własnoręcznie drzwi za sobą.